

AGNIESZKA KOWALSKA-BOJAR


motyleWnosie

Bo tylko czarne oczy

Bo
tylko
czarne
oczy

Agnieszka Kowalska-Bojar

Bo
tylko
czarne
oczy

www.motylewnosie.pl

Poznań 2021

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar
Wydanie I
Poznań 2021

Książka ISBN 978-83-66821-12-5
E-book pdf ISBN 978-83-66821-14-9
E-book epub ISBN 978-83-66821-15-6
E-book mobi ISBN 978-83-66821-16-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Redakcja i korekta
Roma Wośkowiak

Skład i łamanie
Wielogłóska Katarzyna Mróz-Jaskuła, www.wielogloska.pl
wielogłóska 

Wydawnictwo
motyleWnosie
motylewnosie@gmail.com

Nasze e-booki i książki kupisz na stronie
www.motylewnosie.pl
www.sklep.motylewnosie.pl

Otworzyłam oczy i osłupiałam. Nade mną czystym błękitem jaśniało niebo. Niby nic takiego, ale skąd, u licha, niebo w mieszkaniu i to w pochmurną, zimową noc? Nagle z lewej dobiegł do mych uszu dziwny dźwięk. Łypnęłam w tamtym kierunku, a tam wesoło pluskające fale uderzały o piaszczysty brzeg. Osłupiałam jeszcze bardziej. A kiedy spróbowałam się poruszyć... Nic z tego, bo moje nogi i ręce skrępowano bez mała liną okrętową. W dodatku odziana byłam w nader wytworną odzież w postaci starego, kusego szlafroka z dziurami poniżej pleców oraz rozczłapane kapcie. Zdaje się też, iż na głowie nadal miałam wałki założone po wieczornej kąpieli, a na twarzy pastę do zębów zasuszającą podłę, podstępne pryszcze. Leżałam więc tak elegancko opakowana, w panice zastanawiając się, co to znaczy. Czułam się mocno nieswojo.

Gdzie ja, u licha, byłam i jak się tutaj znalazłam?!

Ponieważ po lewej stronie miałam jedynie morze, zerknęłam na prawo. I zgłupiałam do reszty, bo okazało się, że leżę na plaży u stóp parterowego budynku, na którego tarasie stało dwóch zawzięcie kłócących się mężczyzn. O palmach i innej bujnej, egzotycznej roślinności otaczającej tę budowlę wolałam nie myśleć. Zrobiło mi się nieoczekiwanie gorąco, ale zignorowałam to, przyglądając się nieznajomym. Jeden z nich, mały i chudy z bujną rudą czupryną, wyglądał na zakłopotanego. Drugi najwyraźniej był wściekły i to on wyrzaskiwał coś ile sił w płucach, zamaszyscie machając rękoma. To właśnie ten



drugi wzbudził moje niewątpliwe zainteresowanie, bo z ręką na sercu, takiego faceta ze świecą szukać. Bardzo wysoki, masyśny, lecz bez przesady, smagły, o czarnych połyskujących granatem włosach i równie ciemnych oczach. Wyrazista i piękna twarz, silne, duże dłonie, głęboki głos. Ubrany na biało co podkreślało jeszcze jego ciemną karnację. Normalnie cud natury. Może śniłam? Tylko dziwny ten sen, ja związana, a samiec alfa wrzeszczy coś wniebogłosy. Pominęłam tę wizję, skupiając się na fonii i doznałam szoku.

– Kurwa! – ryczało to cudo natury. – Prostej sprawy nie umiecie załatwić! Czego, do cholery, nie zrozumiałeś ty kurzy mózdzku?!

– Tylko ona była w mieszkaniu – odezwał się ugodowo rudy. – Adres poprawny, spała w łóżku, więc skąd mogłem wiedzieć?

– A jak myślisz imbecyłu? Ta pokraka przypominająca czarownicę to niby miałyby być moja wybranka? – Samiec alfa znów sapnął, po czym wskazał ręką w moją stronę.

Cham, pomyślałam urażona. Pewnie, szlafrok urodą nie grzeszył, duży palec figlarnie wyglądał z dziury w prawym kapciu, a pasta do zębów miała ciekawy odcień błękitu, ale żeby zaraz pokraka? Zaczepnęłam powietrza, by wyrazić swój sprzeciw i znieruchomiałam. Po pierwsze panowie mówili po hiszpańsku. Tym językiem porozumiewałam się jak ojczystym i pewnie dlatego od razu tego nie zauważyłam. Po drugie ta cholerna Iza... Trzy dni wcześniej zadzwoniła do mnie, łkając rozpaczliwie w słuchawkę, że nie ma z kim zostawić swojego kotka Puszka. Zawsze zawoziła go do rodziców, ale oni udali się zażywać luksusów wypoczynku sanatoryjnego, a sąsiadka, która miała ich zastąpić, trafiła do szpitala. Zapytała, czy



zgodziłabym się zamieszkać u niej na około dwa tygodnie, bo jedzie na sesję do Dubaju. Pewnie, że się zgodziłam, bo miałam okazję pobyć sama w jej luksusowym apartamencie. Iza była bowiem modelką, cudną blondyneczką o ogromnych błękitnych oczach sierotki Marysi, robiącą karierę w kraju i za granicą. Ja, jej kuzynką, szarą myszką, mieszkającą nadal z rodzicami i kończącą mozolnie ostatni rok studiów. Te dwa tygodnie to był dla mnie prawdziwy dar niebios. Przynajmniej do tego momentu tak sądziłam.

– Hej! – wrzasnęłam ile sił w płucach.

Panowie spojrzeli w moją stronę i umilkli.

– Co się tak gapicie? – warknęłam poirytowana. – Rozwiążcie mnie, bo cała jestem zdrętwiała. Przecież wam nie odleczę na miotle – dodałam złośliwie.

Cud natury nadął się godnie i z impetem usiadł na jednym z foteli stojących w pobliżu. Rudy podszedł bliżej i z prawdziwym zakłopotaniem przystąpił do rozsypywania krępujących mnie więzów. Już po chwili rozcierałam obolałe nadgarstki.

– To, co usłyszałam, w zupełności mi wystarczy. Żądam odstawienia do domu w trybie ekspresowym! W tym tygodniu przeprowadzam bardzo ważne badania, które są zwieńczeniem mojej pracy dyplomowej – wrzasnęłam. – A jak poskarżę się Izuni, to przestaniesz tak lekceważąco się uśmiechać! – Pogroziłam pięścią w stronę bruneta. I to był chyba błąd, bo tępnał na mnie okiem, zerwał się z fotela i podszedł bliżej.

– Wrócisz. Za dwa tygodnie. Izabella nie może się dowiedzieć o tym incydencie. Tu jest pięknie. – Zatoczył ręką dookoła. – Potraktuj to jako darmowe wakacje. Zadzwońisz tylko do rodziny i wyjaśnisz im, że musiałaś od wszystkiego odpocząć. Jak wróci Bella, to wrócisz i ty. Najpierw jednak z nią



porozmawiam i wszystko wyjaśnię, aby twój zmijowaty język niczego nie zepsuł.

– Mam za osiem dni obronę – wysyczałam. – Wsadź sobie w dupę swoją gościnę. Muszę wrócić do domu.

– Nie.

– To ucieknę.

– Ciekawe jak? – powiedział lekceważąco. – Wpław? Ponad dwieście kilometrów? To moja wyspa, nikt tu nie przyjedzie ani stąd nie wyjedzie bez mojego pozwolenia.

Zazgrzytałam zębami w bezsilnej złości.

– Jakoś się tu jednak znalazłam.

– Helikopter. – Wskazał w górę z doskonale widoczną satysfakcją.

Bardzo długo mierzyliśmy się wzrokiem. W moim była z pewnością wściekłość, w jego wyraźne zadowolenie. Nie doceniał mnie, oj, nie doceniał.

– El Matador! – odezwał się nieoczekiwanie rudy, a ja wytrzeszczyłam na niego oczy. – A co z przyjęciem dla twojej rodziny?

– El Matadore? – Moja mina powiedziała więcej niż słowa. – Ja cię kręcę, ależ ksywka. A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest kot?

Przez dłuższą chwilę gapili się na mnie jak wół na malowane wrota. Potem rudy gwałtownie poczerwieniał.

– Kot – powtórzyłam cierpliwie. – Białe, wyniosły kocur. Pieszczoch Izy, którym miałam się zaopiekować pod jej nieobecność.

– Kot? – Brunet spojrzał na swojego podwładnego. – No gdzie kot?

– To jest... Tak jakby... – Tym razem rudy zrobił się wręcz purpurowy i zaczął chyłkiem wycofywać. – Miał wypadek.



- Wypadek?
- Zabraliśmy go ze sobą, ale się wyrwał. Tak się nieszczęśliwie złożyło... Nie było go widać w tylnym lusterku...
- Rozjechaliście Puszka?! – wrzasnęłam z pełnym zgrozy niedowierzaniem.
- Mało co z niego zostało – dokończył prawie szeptem rudy i uciekł.
- Iza cię zabije – oświadczyłam stanowczo. – Ten kot był dla niej jak dziecko. Pożre cię żywcem.
- Mówisz? – Facet pobladł, nerwowo drapiąc się po brodzie. – Kupię jej nowego.
- Wypatroszy cię i pożre – dodałam z uciechą. – Ależ będzie jazda.
- To kupię takiego samego. Może nie zauważy?
- Ta, pewnie – pokpiwałam. – Dobijemy targu. Jak elegancko odstawisz mnie do domu w przeciagu, powiedzmy, jednej doby, to dam słowo, że nie powiem jej o Puszkę przerobionym na krwawą miazgę przez twojego podwładnego. Więcej, wezmę winę na siebie.
- Zostajesz. Kot to kot wystarczy wybrać podobnego.
- Wtedy wszystko jej powiem.
- E tam. – Machnął lekceważąco ręką. – To już będzie po tym, jak zostanie moją narzeczoną. Co znaczy sparszywiały kocur wobec naszej miłości?
- Jak chcesz. – Wzruszyłam ramionami, choć wewnątrz wszystko się we mnie kotłowało. – I tak ucieknę.
- Stąd? Ha, ha! Niemożliwe.
- Pływać umiałam słabo, ale po tych słowach wypowiedzianych z jawnym lekceważeniem poczułam, że mogłabym przepłynąć wpław cały Atlantyk, a nie tylko głupie dwieście



kilometrów. Co za gnojek! Przypomniałam sobie moją ulubioną pisarkę i jej nieśmiertelne dzieło pod wdzięcznym tytułem *Całe zdanie nieboszczyka*, z wątkiem ucieczki z lochu. Zawziętości miałam tyle samo co główna bohaterka, poza tym charakteryzował mnie ośli upór oraz mała złośliwość. Pewnie dlatego każdy zapoznany facet po dłuższym lub krótszym czasie ulatniał się jak kamfora. Przypomniał mi się Grzegorz. Mięczak, pomyślałam z pogardą. Kolejny bezjajowy mięczak, z którym nie dało się nawet porządnie pokłócić. Zerknęłam na bruneta. Stwarzał większe nadzieje, ale najwyraźniej nie byłam w jego typie. Tak szczerze mówiąc, to on w moim też nie był, bo wołałam blondynów. No, niech będzie, nawet szatynów. Ten tutaj był zbyt egzotyczny, chociaż urody czy seksapilu nie mogłam mu odmówić. Za to po ostatniej wymianie zdań poczułam do niego kiełkującą antypatię.

Na schodach prowadzących do domu pojawiła się jakaś kobieta. Biały fartuszek dawał do zrozumienia, kim mogła być.

– Zaprowadź tę... hmm... – Zamyślił się mój porywacz, a ja o mało co nie kopnęłam go w łydke. – Nieważne. Zaprowadź ją do wolnej sypialni. To gość, ale ma całkowity zakaz opuszczania wyspy. Zrozumiano?

Dziwne, lecz kobieta pobladła pod wpływem jego spojrzenia.

– Tak, zrozumiałam – odparła cicho. – Pozwoli panienka ze mną.

Na odchodne pokazałam wrogowi język w całej okazałości. Durne, ale nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy, a jakoś musiałam wyładować targające mną uczucia. On popukał się w głowę, sugerując, że jestem wariatką.

– El Matadore. Co to za ksywka? El Sratadore. El Głupadore – mruczałam, wlekąc się za pokojówką.



Zaprowadziła mnie do przestronnego pokoju z widokiem na morze, ogromnym łóżem i leniwie obracającym się wiatrakiem na suficie. Obok była łazienka niewątpliwie przypisana do apartamentu.

– Jeśli czegoś będzie panienka potrzebować, proszę nacisnąć ten guzik. – Wskazała na ścianę.

– Obawiam się, że już potrzebuję. Ubrań. Przecież nie mogę chodzić tak! – Spojrzałam na szlafrok i dziurawe kapcie.

– Dobrze, załatwię to. Coś jeszcze?

– Mam ochotę czegoś się napić – powiedziałam kapryśnie. Zdecydowanie humor mi nie dopisywał. – Idę się wykąpać. – Postanowiłam nagle.

– Przyniosę odpowiednie kosmetyki do kąpieli – odpowiedziała, po czym zniknęła za drzwiami.

Pozbyłam się odzieży wierzchniej, a później z namysłem obejrzałam swoje odbicie w dużym lustrze powieszonym naprzeciwko łóżka. Wzrost średni, figura taka sobie z wyjątkiem zbyt dużej pupy. Obróciłam się na pięcie, zerkając przez prawe ramię na pośladki. Za pulchne, cholera, za pulchne. Włosy blond, no dobrze, uczciwie przyznając, lekko wpadały w rudy, oczy zielone, nos nieco zadarty, trochę piegowaty, usta za szerokie, za wydatne, takie żabie. Wyszczrzyłam się. O tak, zęby były w porządku. Idealne. Chociaż coś, westchnęłam smętnie, nawijając na palec końcówkę włosów. Daleko mi było do Izy, choć nie wykluczam, że mogłam się podobać. Jednak w jej towarzystwie nie miałam szans. I co z tego?, pomyślałam buntowniczo, włączając do wanny, po uprzednim zdjęciu wałków oraz zeszkobaniu resztek pasty.

Cała ta łazienka aż kipiała luksusem, choć był to luksus stonowany i w najlepszym wydaniu. Pojawiła się pokojówka,



podając mi bez słowa butelkę z płynem do kąpieli. Trzeba przyznać, że bosko pachniał. Jakby cytrusami i miętą. Zaintrygowana wahałam pianę i byłam tym tak zajęta, że nie zauważyłam, iż zyskałam męskie towarzystwo.

– Co robisz? – spytał podejrzliwie, a ja o mało co nie zemdląłam.

– Nie strasz, bo zawału dostanę – warknęłam, teatralnym gestem łapiąc się za pierś.

– Pytałem, co robisz?

– Wącham. Nie widać?

– Co wąchasz?

– Jasna cholera! – syknęłam. – A niby co mam wąchać? Własne nogi?

– Pomożesz mi kupić kota.

– Pocałuj mnie w miejsce, gdzie słońce nie dochodzi – oświadczyłam pogodnie. – Specjalnie je umyję na taką okazję.

Rzadko kiedy widziałam tak zaskoczonego faceta. Pewnie branki w niewoli nie tak zwracały się do swojego oprawcy. Raczej bladły, wdzięcznie mdlały, czy spazmowały, ale pyskowanie odpadało. Odrobinę się zaniepokoiłam, ale potem pomyślałam, że nie będzie przecież uśmiercał rodziny przyszłej żony. Chyba. A może lepiej przystopować, kto wie, co siedzi takiemu w głowie?

– Kot jak kot. – Wzruszyłam ramionami. – Białe, rasowe, choć nie mam pojęcia co to za rasa. Oczy mu się tak na czerwono świeciły. Ładny był. Ale bardziej jestem ciekawa, jak go przekonasz, żeby nie uciekał przed ukochaną właścicielką?

– No właśnie. – Zakłopotał się. – Zaczniemy od kota, a potem się zobaczy.

– Gdzie poznałeś Iżę? – spytałam z ciekawością, zmieniając temat.



– Na przyjęciu w Mediolanie.
– Aha. Tym sprzed trzech tygodni?
– Tak.
– I tak od razu się zakochałeś? A ona? Nic nie mówiła – zamilkłam gwałtownie, bo przypomniała mi się paplanina kuzynki.

Przecież opowiadała, że przyczepił się do niej jakiś macho, typ południowca, a ona może i byłaby zainteresowana, ale już zdążyła się zakochać. W każdym razie El Matador na pewno nie był tym wybrańcem. Przelotnie zastanowiłam się, gdzie znalazła piękniejszego, a potem postanowiłam nic o tym nie mówić. Diabli wiedzą, czy po takich rewelacjach nie ukatrupi mnie na miejscu. Tym bardziej że, nagle spochmurniał.

– Ogólnie nie miałyśmy czasu na dłuższe pogawędki – dodałam ostrożnie. – Skąd pomysł na porwanie?

– To raj. – Zatoczył ręką dookoła. – Prywatna wyspa, plaża na własność, dom i służba do dyspozycji oraz ja, chcący spełnić wszystkie jej zachcianki.

– Aha. I pragnący ją zaliczyć – dodałam kpiąco.

– Oświadczyć się.

– Oj, El Matadore, El Matadore. – Pogroziłam mu palcem. – Łgarstwo wyczuwalne na kilometr. Ale rozumiem, że jedno łączy się z drugim.

– Radzę ci dobrze, pozbądź się tego lekceważącego tonu. Bez kilku palców można żyć.

– Naskarzę Izie, że mi groziłeś okaleczeniem.

Gwałtownie poczerwieniał, z całej siły zaciskając dłonie w pięści. Ja zaś beztrząsco pluskałam się dalej, podśpiewując sobie niedawny przebój Adele. Naprawdę nie bałam się ani trochę, choć w zasadzie może powinnam? Pokojówka miała



przerażenie w oczach, a rudy uciekał w podskokach po rewelacjach o Puszku, w końcu El Matador był rasowym brunetem o gorącej krwi i sporych bicepsach. Westchnęłam, bo chętnie bym nawet pomacała te bicepsy.

– Jak masz na imię? – Przerwałam krępującą ciszę.

– Javier.

– Julia, miło mi. – Wyciągnęłam do niego mokrą dłoń. Uścisnął ją nieco ośłupiały. – Patrz, prawie jak w brazylijskiej telenoweli. Piękna ja, piękny ty, pięknie dookoła – zanuciłam, fałszując.

– Dałaś o jedno piękno za dużo – odparł złośliwie.

– E tam. Nie bądź wobec siebie taki krytyczny. – Chlapnęłam na niego pianą. – Mój ty Javier Maria Guillermo ble, ble, ble, El Matadore i kolejne ble, ble, ble.

– Za te kpiny skręcę ci w końcu kark.

– Poproś rudego, niech mnie rozjedzie. Ma wprawę.

– Na pewno ty i Iza jesteście rodziną? – spytał, podejrzliwie mi się przyglądając.

– W pierwszej linii. A co? Nie widać?

– Nie.

– Cham – powiedziałam radosnym głosem wcale nieurazona. Kąpiel zdecydowanie poprawiła mi humor. Poza tym gdzieś tam pojawił się załążek pomysłu brawurowej ucieczki. – Dlaczego uważasz, że nie jesteśmy?

– Brak ci kobiecości, subtelności i urody – walnął prosto z mostu. – I seksa...

Więcej nie zdążył, bo bez namysłu przyłożyłam mu mokrym ręcznikiem. Zamarł z rozdziawionymi ustami, podczas gdy ja wstałam i gromko śpiewając, sięgnęłam po kolejny ręcznik, tym razem suchy. Czy mi się zdawało, czy wykonał jakby unik?



– Nie bój się – rzekłam łagodnie i radośnie. – Ten jest dla mnie. Już nie będę cię biła.

On wciąż się tylko gapił. Owszem, byłam naga, ale i cała w pianie. Szczegółów nie było widać.

– Biła? – powtórzył niczym echo. – Ty mnie?

I nagle zaczął wrzeszczeć:

– Mam tego dość! Jak się, do cholery, nie zaczniesz zachowywać potulnie, to przysięgam, zastrzelę cię!

– Czym? – Zainteresowałam się zachłannie, przeczesując wilgotne włosy palcami. – Procą? A może zioniesz ogniem z pyska El Matadore? – pokpiwałam. Kiedy w końcu uda mi się wyprowadzić go z równowagi?

Z ust Javiera wyrwał się coś jakby gulgot, a potem energicznie mnie chwycił, prowizorycznie przełożył sobie przez kolano i wlepił trzy mocne klapsy.

– Gra wstępna? – zachichotałam, wracając do pozycji pionowej. – Ale jazda. W nagrodę pomogę ci wybrać Puszka.

– Kurwa – wysyczał, tym razem zaciskając dłonie na moich ramionach i wściekle mną potrząsając. – Gdyby nie Bella już dawno byłabyś trupem. Bierzesz to w ogóle pod uwagę?

– Nie.

Biedak. Spurpurowiał, a potem odwrócił się i uciekł. Nic dziwnego, inaczej naprawdę musiałby mnie ukatrupić. Wzruszyłam ramionami i przeszłam do sypialni. Na łóżku leżały w równych stosikach ubrania. Pod łóżkiem poustawiane były w równym rzędzie buty. Gwizdnęłam z podziwem. To się nazywa obsługa doskonała. Na dodatek na stole poukładane były różnego rodzaju kosmetyki, od wacików aż po perfumy. I wszystko to najlepszej jakości. No, no. Naprawdę, gdyby nie moja kariera naukowa, to z chęcią bym tu została nawet dłużej



niż dwa tygodnie. Wybrałam z tego wszystkiego kusy strój kąpielowy w kolorze turkusowym, lekkie klapki i ogromne okulary. W pasie przewiązałam się jakąś zwiewną szmatką, kolorystycznie dobraną do reszty, włosy związałam na czubku głowy w niedbały kok, a potem z dreszczem rozkoszy zaczęłam rozpracowywać te wszystkie kosmetyki. Pełen makijaż sobie darowałam, gorąco było jak diabli, ale kilka udoskonaleń zastosowałam. Zadowolona wreszcie z własnego wyglądu wymknęłam się z pokoju w poszukiwaniu kuchni. Kiszki mi marsza grały, więc była to w tej chwili najpilniejsza potrzeba. Daleko nie uszłam, bo w jadalni natknęłam się na gospodarza konsumującego obiad i czytającego gazetę oraz udającego, że mnie nie zauważa.

– Jestem potwornie głodna – oświadczyłam, zajmując miejsce przy długim stole, dokładnie naprzeciwko Javiera. – Daj spokój z prasą. W jaki sposób przywołać tę miłą panią w fartuszk?

Bez słowa wskazał głową na dwa przyciski znajdujące się na ścianie za jego plecami. Na wszelki wypadek nacisnęłam oba i nie czekając na reakcję, wróciłam na swoje miejsce, po drodze zauważając, jak Javier gapi się na moją pupę. Przestał, gdy tylko na powrót usiadłam.

– Co z kotem? – spytałam zaciekawiona.

– Miguel miał się dowiedzieć co to za rasa – odpowiedział z niechęcią. – Przyniesie zdjęcia, a ty potwierdzisz.

– Dobrze. – W moim głosie dało się wyczuć roztargnienie, bo pojawił się obiad. Za cholerę nie wiedziałam, co to jest, ale wyglądało apetycznie. I było smaczne. Zajęta konsumpcją, kątem oka obserwowałam mojego towarzysza, który właśnie rozmawiał z kimś przez telefon. Kiedy skończył, w drzwiach



pojawił się rudy. Miał podbite oko, ogromnego siniaka na prawej skroni i rozciętą wargę.

– Co mu się stało? – spytałam ze zgrozą.

– Niesubordynacja – odparł nieco złośliwie Javier. – To, co i ciebie może spotkać, jak będziesz się wygłupiała.

– Bijesz kobiety? Ej, nieładnie. Może powinnam ostrzec Izę? – Zamyśliłam się.

– Zamknij się w końcu! – warknął. – Miguel, pokaż jej fotki.

Bezbłędnie wytypowałam kota typu Puszek. Od razu zazna-
czyłam, żeby nie pomylili płci, a potem rudy zniknął. Zapadła
cisza, bo ja byłam zajęta deserem, a on ignorowaniem mnie.

– Idę na wycieczkę – oznajmiłam, gdy skończyłam.

– To idź – odpowiedział obojętnym tonem.

Niedobrze. To oznaczało, że mówił prawdę i nie ma stąd łat-
wej drogi ucieczki.

– Popływam trochę.

– To pływaj.

– Nie ma tu rekinów?

Jak na mnie spojrzal! W zasadzie powinnam zachować się
przyzwoicie i więcej nie odzywać, ale to nie było w moim stylu.

– No co? Nie wiem, gdzie jestem. A rekiny zasiedlają morza
tropikalne i subtropikalne. Za oknem mamy palmy, gorąco jak
w piekle, więc moje pytanie jest jak najbardziej uzasadnione.

– Nie ma – odparł krótko, wracając do czytania.

– A lwy, tygrysy?

– Na wyspie? Odbiło ci kretynko?

– Może tresowane? Bogacze mają zwyczaj hodowania ta-
kich egzotycznych zwierzątek. Zwłaszcza ci o przerośniętym
ego w typie macho.

Lypnął na mnie wściekle okiem i odpowiedział:



– Nie ma. Idź już sobie, bo będę ci musiał zrobić krzywdę.
– Krzywdę? – Spojrzałam na niego, robiąc słodką minę i za-
lotnie trzepocząc rzęsami. – Zależy jaką... – dodałam przeciągle.

Przekleństw nie zrozumiałam, bo zostały wypowiedziane
w innym języku niż hiszpański. Zmiał gazetę w napadzie szału,
cisnął nią o podłogę i uciekł. Spodobało mi się to. Uwielbiałam
wkurzać facetów, zwłaszcza tych, których nie zamierzałam
podrywać. Jednak na resztę dnia postanowiłam dać spokój, bo
kto wie, może faktycznie puszcza mu nerwy? Wtedy będę wy-
glądała jak Puszek... W najlepszym wypadku jak rudy.

Zwiedziłam dom, cudo architektury położone nad samym
brzegiem morza wśród palm i innej bujnej roślinności niezna-
nego mi gatunku. Parterowy, elegancki i cholernie luksusowy.
Luksus miałam gdzieś, znacznie bardziej zainteresowała mnie
zawartość barku. Wypić tego w dwa tygodnie nie dam rady,
ale chociaż sobie poprobuję. Przy czwartej butelce mnie zasto-
powało, bo to jednak niezdrowo mieszać alkohole, nawet w tak
znikomych ilościach. Postanowiłam zwiedzić najbliższą oko-
licę, dalszą zostawiając sobie na jutro. Z kuchni podwędziłam
sporych rozmiarów mango i, ocierając sok ściekający z brody,
wyszłam na zewnątrz. I dopiero tutaj mnie olśniło. Pięknie
było jak z folderu biura podróży albo jak z fotografii National
Geographic. Fale leniwie uderzały o brzeg, stopy zapadały
się w biały, nagrany piasek, a kolory nieba i wody zapierały
dech w piersiach. Prawie się załamałam, postanawiając zostać
tu te dwa tygodnie. Dopiero kiedy przypomniła mi się pełna
satysfakcji mina Javiera... O nie. Nie daruję. Ucieknę. Choćby
na własnoręcznie zbudowanej tratwie.

Pospacerowałam po plaży. Pokręciłam się wśród zabudo-
wań gospodarczych, skrzętnie notując obecność lądowiska



*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

